

„Ofiara Smętka”

Siedział Smętek od lat w potężnej dziupli w prastarym dębie. Siedział i dumał nieraz, jak to dziś inaczej na świecie, jak to dawniej bywało. A kiedy go te dumki rozszerdziły, czasami po staremu zapalał się gniewem: ciskał pioruny i gromy. Zadzierali głowy ludziska, skądże tu nagle na pogodnym niebie chmura się wzięła i siecze deszczem bez litości? Aż miało wzburzenie, uciszał się Smętek – pruski bożyc, co dzisiaj niczym się czuł. Do Mazurów i Warmiaków przywykł już dawno – aleć to nie jego dawne Prusy. Toteż z tego wszystkiego brodę miał siwą jak mleko, ale na głowie sporą łysiną świecił; zakrywał ją czapką plecioną z jemioły. A nos to miał Smętek tak potężny, że dziw, jak się na tej czerwonej twarzy mógł pomieścić. Jakoś przez samotne lata serce w nim zmiękło i, o dziwo, polubił dzieci. Nigdy psotnym kłobukom nie pozwalał krzywdzić ludzkich „kruszyn”, a za każdy splątany figiel potrafił nieźle za uszy wytarmościć.

Pewnego dnia zapach jagód czerwonych w potężnym nosie tak go przedziwnie łaskotał, że wylazł ze swej dziupli i powędrował nie na wilku burym, lecz na własnych nogach. Słońce świeci, jagody słodziutkie jak nigdy. Nagle usłyszał kwilenie. Nastawił ucha. Co to może być? Sowa nie sowa? Zając nie zając? Idzie i patrzy. Na spróchniałym pniaku zwalonej przez wichry starej sosny dziecko leży i kwili. Skrył się Smętek w krzaku leszczyny i czeka. Matka po nie wróci – myśli. A tu i słońce zaszło, ciemna noc gwiazdy zapala, a nikt po dziecko się nie zjawił.

- O, dranie zatracone! Taką kruszynę zostawili! Porzucili naumyślnie! No, widzicie, usnęło niebożątko – rozczulił się Smętek. Jakże je na noc zostawić?

Podrapał się w łysinę, nosem mocno zagniewany pociągnął i pomału, oglądając się wokół, czy też żywe stworzenie go nie widzi, wziął dziecko na ręce i poniosł do swojej dziupli. Nocka była ciepła i cicha, dziecko spało na miękkim posłaniu z mchu, ale rankiem się obudziło i zaczęło kwilić żałośnie.

- Co tu z nim począć? – zmarkotniał Smętek. Potem w dwa paluchy gwizdnął.

- Jestem, ichmościuniu, jestem – pisnęło coś przy dziupli. To kłobuk kosmaty ślipkami wierci i na rozkazy czeka.

- Ichmościuniu, a co u was tak piszczy? – nie wytrzymał.

- Za ciekawyś, pokrako jedna. Co piszczy, to piszczy, piszczy ludzki niemowlaczek.

- Ludzki? – zachłysnęła się ze zdumienia stworek. – Skądżeśta to wzięli?

- Skąd? Ciekaw jesteś, niezdaro! Jest i dość! Trzeba je nakarmić. Leć, a żywo. Przynieś mu coś do jedzenia! Tylko szybko wracaj!

Znikł kłobuk i za moment był z powrotem. W łapie niósł, jak dwa bicze, dwa długie wędzone węgorze.

- Ośle zatracony! Toć nie wiesz, że niemowlaka się węgorzami nie karmi? Mleka potrzebuje! Węgorze mi tu przyciągnął, o głupie stworzenie! Tylko nie kradnij nic, bo... - tu się zająknął jakoś – bo... bo dziecku na zdrowie może nie pójść takie kradzione.

Ale kłobuk nie słyszał. W kruka zamieniony szybował ku najbliższej chacie na skraju wsi. Stara Agata akurat doła kożę. Opodał pasły się jeszcze dwie młode. Postawiła Agata dzban, mleko przecedziła.

Dzbanek maleńki – myśli kłobuk – podołam. Wziął kamyk z pola, chuchnął nań i na ziemi położył, a sam dzbanek ostrożnie pochwycił i już z powrotem leci.

Odwraca się Agata – ani dzbanka, ani mleka, a pieniążek złotym blaskiem świeci.

Kłobuka to sprawa – kiwa głową stara – kłobuka. Czy pierwszy raz w życiu takie rzeczy widzi? A kłobuk już przy prastarym dębie.

- A łyżka gdzie? Gdzie łyżka, pokrako? Słyszysz? Czym dzieciaka karmić będę, ha? Jak cię chwyć w łapy...

Nie czekał długo Smętek i łyżka się znalazła. Smętek niezdarnymi łapami długo dzieciątko kozim mlekiem poił. Uśmiechnęło się i usnęło.

- Kruszyna – rozczulił się Smętek. – Kruszyna – i podejrzanie nochalem pociągnął. – Hej, ty tam, obwiesiu, jesteś jeszcze? – wychylił łysinę ze swego mieszkania.

- Jegomość nie dali rozkazu odejścia.

- Idź teraz i wymyśl, by kozę na stałe mieć. Dzieciakowi, widzisz, mleka potrzeba.

Wrócił kłobuk do domu Agaty. Przybrał postać starca i do drzwi puka.

- Dobry dzień! – czapkę w progu zdejmuje. – Z interesem do was, gosposiu.

- A jakimż to, rada bym wiedzieć?

- Słyszałem, kozę macie do sprzedania.

- I mam, i nie mam. Coście to, kupiec?

- Kupiec.

- No nie wiem, jak to rzec. Młodej sprzedać nie chcę.

- A stara ile mleka daje? Starczy dla dzieciaka?

- Dla dzieciaka? A starczy chyba. A to wnuka macie?

- A coś tam jest, sam nie wiem – sepleni kłobuk – ale mleka mi trza.

- Ba, może i dobijemy targu.

Ucieszył się kłobuk serdecznie, że kłopotu z głowy się pozbędzie i Smętkowi się przypodoba. Stary, to stary, ale jeszcze krzepę w garści ma, a jak za uszy czasami ułapi. Lepiej nie ryzykować, ale słuchać rozkazów. Od wieków kłobuki Smętkowi służą.

- Trzymam za słowo, gospodyni. Po pieniądze teraz pójdę. Wyszedł kłobuk z chaty, na polu nabierał gładkich kamieni, chuchnął na nie, zamamrotał coś po cichu. W łapie trzymał garść pieniędzy.

- Starczy czy nie starczy? Kiep w tych sprawach jestem. Toć chyba starczy. I ku chacie Agaty posunął. Targu dobili. Pod wieczór stanął z kozą na postronku pod prastarym dębem.

- Zaraz obaczym – spuścił nogi z dziupli Smętek. Kozę za brodę potargał, aż beknęła. – A doić kto będzie, hę? Jak myślisz? – srogo spojrzął na kłobuka.

- Podoi się, podoi, widziałem nieraz, jak to się robi, może i potrafię – podrapał się w kosmaty łeb kłobuk.

Przyszedł wieczór, dziecko płakało.

- Spać nie śpi, co z nim robić? – mamrotał zmartwiony Smętek.

- Ichmościuniu, poradzę – pisnęło pod dziuplą.

- Wymyślisz to co?

- Ludzie dzieciom śpiewają wieczorem, aby usnęły.

- Śpiewają – westchnął Smętek. A któż to będzie śpiewał, hę?

- A wy, ichmościuniu, wy.

- Zgłupiał osioł do czysta – wrzasnął Smętek. Ale dziecko płakało coraz rzewniej. Smętka zaś coś za serce ścisnęło. Zapłacze się, Kruszyna, na śmierć zapłacze. – Ty, lichy kosmate, jesteś tam?

- Jestem – wymamrotał przez sen kłobuk. Toć nie zwolniliście mnie jeszcze.
- Nie śpij, nie słyszysz, co mówię?
- Ciszej, toć i dzieciak się boi.
- Będziesz mnie uczył?!

Dziecko płakało dalej. Smętek wyrżał z dziupli.

- Jak to się tam śpiewa?

Modre oczka idźta spać...

Modre oczka idźta spać.

Bo musita rano wstać.

Bo musita rano wstać...

- zawodził piskliwie kłobuk.
 - Głupiś – warknął Smętek, ale po chwili fałszywie zanucił: „Modre oczka idźta spać”.
- Dziecko zamknęło oczka, ucichło i usnęło.

Rosła mała Kruszynka w dziupli starego Smętka. Uczyła się chodzić wokół starego dębu mocno trzymając za paluch Smętka. Niebieskie oczka patrzyły z ufnością. Koza – wierna przyjaciółka – wozila Kruszynę na grzbiecie, kłobuki zbierały najśodsze jagody, łowiły srebrne ryby, wędziły je sobie znanym sposobem. Śmiały się nieraz ze starego, ale musiały go słuchać. Stary Smętek nie dawał się przechytryć. Po kluski lub placki z białej mąki, po kawałek płótna lub wełny wysyłał je nieraz i musiały na to zarabiać w pocie czoła.

- Miękkie to ma serce dla tego ludzkiego dziecka nasz stary – dziwiły się niepomiernie kłobuki.

Dziewczynka rosła jak przedziwny piękny kwiatek niespotykany w dzikiej kniei. Miała złote włoski i oczka niebieskie, a nad prawą brewką znamię jak maleńka czerwona jagódka.

- Znaczona – szeptały kłobuki.

Pewnego wieczoru do Smętkowej dziupli ktoś się drapie.

- Kie lichu spać nie daje – mruczy stary, wychylając łysą głowę na zewnątrz. A to kłobuk zadyszany ku dziupli się gramoli.

- Ichmościuniu, ichmościuniu, coś wam pilnego rzec muszę!

- Po nocy? A dnia nie masz, czy co?

- Kiedy to pilna nowina! Kruszyna wasza matkę ma.

- Co? – Smętkowi głos się załamał, serce załomotało w piersi.

- A ma! Poleciałem wczoraj do tego grodu, co to nad jeziorem wielgachny stoi. Piękny to gród, zasobny. Pasieka wokół, budynki piękne. Bogactwo. A że szanują dawny obyczaj, to i jajecznicę kłobuczętom za próg wystawili.

Podjem sobie, myślę.

- To dla głupiej jajecznicy po nocy mnie niepokoisz, przygłupku pomyłony!

- Nie o to, nie o to. Jem, patrzę, a po grodzie chłopię biega. Kubek w kubek wasza Kruszynka. I oczki, i buzia, i nad prawą brewką jagódka czerwoniutka. Hm, myślę, co to być może? Myszkuje, słucham tu i tam, i co słyszę? Służba w kuchni siedzi, o czymś rozprawia, miodkiem się racząc. Uf, ale słodziutki.

Smętek za ucho pochwycił kłobuka rozwodzącego się nad słodkim miodem.

- Ojej! Nie tak srogo, już, już gadam dalej. No to słyszę, mówią: „Już pięć lat naszemu panu córkę wykradziono. Dwoje dzieci było w kołysce, bliźniaki jak dwie jagódki do siebie podobne. Pan czekał na syna, a doczekał się i syna, i córki. A miał wroga zawziętego, który

umyślił mu synka porwać, aby następcy po sobie nie miał. I raz nocą wykradł mu, ale córkę. Goniono go, szukano, nagrodę obiecano temu, kto znajdzie dziecko. Wszystko na próżno. Słuch po dziecku zaginął.”

Zgrzytnął zębami Smętek, pioruny z oczu strzeliły.

- Ach, gdybym go w garści miał, tego obwiesia! Ale, czy aby na pewno to prawda, co mówisz? Możesz tego miodu za dużo chlipnąć i coś ci się w głowie przekreśliło? Mów prawdę!

- Ichmościuniu, klnę się na waszą łysinę! Niech skonam, że to prawda!

Długo w noc dumiał Smętek patrząc na śpiące dziecko.

- Musiał ten łotr spostrzec pomyłkę, że nie chłopca porwał rodzicom, jeno dziewczuskę i tak ją w tym lesie ostawił.

Rano wsiadł na burego wilka, Kruszynekę przed siebie posadził, dał jej do rączek krobeczkę z wikliny pełną poziomek i ruszyli w drogę. Jechali bardzo długo, wreszcie z daleka ujrział Smętek zasobny gród.

- Tu zaczekamy do wieczora – gładził włosy dziecka.

Usnęło przytulone do aksamitnej trawy. Wyciągnęło zmęczone łapy bure wilczysko, tylko Smętek nie spał.

- Tak – dumiał – tak to jest. Coś pod zębem z lewej strony mocno wierci, boli. I ślipia mi się pocą. Ale co będzie z dzieckiem dalej, jeśli je w borze trzymać będę? Prawda, że najmilsza mi, ale dla jej dobra muszę ją ludziom zwrócić matce, ojcu. I łzy po raz pierwszy w życiu pociekły mu po czerwonej twarzy. Była to największa ofiara w jego życiu.

Wytrzeł oczy rękawem, nochalem pociągnął raz i drugi, wilka burego obudził i przykazał pilnować dziecka, a sam poszedł na zwiady. Ciemno było nocą. Księżyc zasłonił się chmurą. Przyłgął Smętek twarzą do małej szybki w okienku. Na łóżeczku śpi chłopczyzna, a twarzyczkę ma jak jego Kruszyna! Oczy go nie mylą! Nad prawą brewką jagódka czerwona. A przy łóżeczku kobieta klęczy. Okrywa dziecko. Twarz ma dobrą i smutną. Patrzy i wzdycha. Od łóżeczka odejść długo nie może.

Za mądre to dla mnie sprawy – mruży Smętek. Wie, że odda to, do czego przyłgął sercem jeden jedyny raz w całym swoim długim życiu... dziecko, które znalazł w lesie i z takim trudem wychował. Z tą myślą do Kruszyny powrócił.

Wstał ranek. Wziął Smętek dziewczynkę za rączkę. Prowadzi ją pod domostwo.

- Nie bój się niczego, nie bój się, maleńka, tak trzeba – gładził jej jasne włoski.

Otworzyły się ciężkie drzwi. Wyszła z nich kobieta o dobrej twarzy. Za rękę prowadzi synka. Smętek zadrzał, potem lekko popchnął dziewczynkę prosto na drózkę, po której szli. Kobieta spojrzała na dziewczynkę, krzyknęła i osunęła się bez siły na ziemię.

Wielka była radość w grodzie z odnalezionego dziecka. Nie było żadnej wątpliwości, że to Bogna, tak była do swego brata podobna. Dziewczynka na początku bała się ludzi. Często spoglądała w stronę puszczy, jakby stamtąd kogoś wyczekiwała. Ale czas mijał. Bogna pokochała swego brata, rodziców, wyrosła na piękną pannę.

Gdy wyszła za mąż, jeździła z mężem i jego towarzyszami na łowy. Dziwiła się męzowska drużyna, dlaczego tak lubiła zaglądać do starych dziupli. A ona uśmiechała się wtedy w milczeniu, jakby słuchała jakichś dalekich głosów. Może słyszała, jak Smętek szeptał: „Kruszyna”? A może to tylko śpiewał wiatr?